

Kamil Pycia – „Amoria”

Teatralna Kicia, 21 czerwca 2025

Link: <https://teatralna-kicia.tumblr.com/post/786895727807889408/amoria-teatr-teatrbarakah-re%C5%BCyseria-klaudia>

Powiedzieć, że bałem się tego, jak wyjdzie spektakl „Amoria”, to jak nic nie powiedzieć. Wynikało to z tego, jak dużo potencjalnych możliwości potknięcia się było na drodze: od licznych debiutów – w tym na stanowisku reżyserskim i dramaturgicznym – po temat poliamorii, który jest na tyle delikatny (jak każdy inny temat związany z seksualnością człowieka), że bardzo łatwo jest popaść w obsceniczność i mówię to z pełną świadomością tego, że jestem Saddamem Husajnem bezpruderyjności, jeśli chodzi o tematy poruszane przez sztukę. Sam temat poliamorii jest mi dobrze znany i nie słuchałem o tym po raz pierwszy ze sceny, więc nie byłem też jakoś specjalnie nieprzygotowany na to, czego mogę się z niej dowiedzieć.

Twórcy spektaklu – niemalże już tradycyjnie w Teatrze Barakah – zahaczają się o filmowy scenariusz i na bazie tego, o czym opowiada materiał źródłowy, nadbudowują własną narrację, która – mimo bycia zakorzenioną w oryginale – śmiało zmierza także w inne strony i zgrabnie może działać jako zupełnie odrębny tekst kultury. „Amoria” jako swoją bazę wybiera jedną ze scen filmu „Najgorszy człowiek na świecie”, w której to główna bohaterka Julie musi powiedzieć swojemu chłopakowi Akselowi, że między nimi koniec, bo poznała kogoś innego, w kim się zakochała i mimo że nadal kocha Aksela, to czuje, że musi dokonać wyboru między dwoma mężczyznami, co prowadzi do końca jej pierwszego związku. I w tej chwili wchodzi cały na białą Teatr Barakah i wsadza kij w szprychy tego kręcącego się beztrąsko mechanizmu, pytając: a co jeśli to nie musiało się stać? Co jeśli kobieta zaproponowałaby, zamiast rozstania, stworzenie związku poliamorycznego? Jakie byłyby tego konsekwencje, jakie potencjalne problemy mogłoby to rozwiązać, a jakie też stworzyć? Jednocześnie można na całość patrzeć nie tylko przez pryzmat samej poliamorii, ale też stawiania granic w relacjach i zdrowej dyskusji o tym, czego chcemy, a czego sobie nie życzymy w związkach. Spektakl staje się swoistym poligonem doświadczalnym dla tego, jak

zdrowa relacja powinna wyglądać i właśnie w takich laboratoryjnych warunkach pozwala nam się przyjrzeć całej sytuacji.

Reżyserka, Klaudia Gębska, wybiera bardzo lekki ton narracji, pomimo ciężaru jaki ta historia niesie, zamykając wszystko w odrobinę farsowych ramach, z dwójką narratorów-przewodników, którzy przywodzili mi na myśl wyrośniętych Cosmo i Wandę z serialu „Wrózkowie Chrzestni”, którzy za rączkę prowadzą nas – jak również bohaterów – przez świat spektaklu, nadając mu dynamikę, ale też stopując opowieść w odpowiednich momentach, bardzo mocno życzeniowo wpływając na bohaterów. Nie pozwalają im się dać porwać emocjom i momentami mówią: „hej, a może spróbujemy inaczej, otwórz się na propozycję i zobacz, co się stanie, emocje w momencie uniesienia nie zawsze są zdroworozsądkowym rozwiązaniem”. Kierunek tej historii wyznacza też poniekąd sama sekwencja otwierająca, gdzie nasz wrózkowy duet – niemalże jak w teatryku dla dzieci – rozsuwa przed widzami niewidzialną kurtynę. Przezabawne. Jednocześnie Gębska nie zatracą się w tym humorku i potrafi pokierować aktorami tak sprawnie, że sprawdzają się również w momentach bardziej dramatycznych. Bardzo dobrze wygrywa tutaj łamanie czwartej ściany i wychodzenie aktorów z roli, gdzie jako oni sami mogą wylać własne rozterki dotyczące poliamoryczności, a zauważalne przez to zmiany tempa w żaden sposób nie kolidują z fabułą, a wręcz stanowią dla niej interesujące uzupełnienie.

Dodatkowo, a nawet pierwszoplanowo, warto zwrócić uwagę jak dobrze w tym tekście Miłosza Mieszalskiego odnajdują się aktorzy. Jestem zauroczony podwójną rolą Amorów-Wrózków Chrzestnych w wykonaniu Joanny Karcz i Patryka Krzaka. Dynamiczni, z niewiarygodną energią, odrobinę przerysowani, ale nadający konwencji, w jakiej zrealizowano „Amorię”, unikalnej siły napędowej. Zresztą, cała obsada dźwiga ten show z godnością i daje widzom ogromną przyjemność z obserwowania ich dokonań. Fajnie wypada również Monika Kufel jako Sunniva skonfliktowana wewnętrznie z decyzją swojego partnera Eivinda o chęci bycia w związku poliamorycznym. Bardzo niepokorna i pełna strachu powodowanego jej kompleksami jest swoistym znakiem STOP – BADAM TEREN w całej karuzeli sprowokowanej wydarzeniami przedstawionymi w spektaklu. Pełnokrwista rola, która budzi szacunek.

Ale też nie będę ukrywał, że lubię Monikę Kufel i uważam, że dostarcza top emocji w większości swoich ról, a czasem wręcz ratuje nimi spektakl.

Pomijając już samą grę z konwencją teatru w teatrze i to jak przyjemnie zabawny i softowy – jak na podjęty temat – jest ten spektakl, istotnym jego elementem jest też walor edukacyjny, czyli próba wyjaśnienia, czym jest poliamoria sama w sobie i w jaki sposób działa. Twórcy dostarczają istotne podstawowe informacje w tym zakresie, jednak tutaj odrobinę coś według mnie zgrzytało, bo w takich sekwencjach robiło się troszkę szkolnie i zbyt informacyjnie, jak w gimnazjalnym przedstawieniu na sali gimnastycznej z okazji dnia patrona, gdzie trzeba opowiedzieć o Maksymilianie Marii Kolbem. Na szczęście tych momentów jest bardzo mało w tym ponad półtoragodzinnym przedstawieniu, więc nie było to dla mnie aż tak bolesne (na pewno mniej niż tajemnica różańca). Może wynikało to też z tego, że nie jestem zupełnie nieświadomy istnienia poliamorii i po prostu już wiedziałem to wszystko, co ze sceny padło w momentach teoretycznych i stąd moje sapanie. Co podobało mi się dodatkowo to fakt, że nie pokazano poliamorii jako „leku na całe zło i nadziei na przyszły rok”, zwrócono uwagę na potencjalne zagrożenia i na to jak łatwo jest kogoś zranić, więc uniknięto również jednostronnych zachwyków nad tematem i ukrywania małego druczku takich umów relacyjnych.

Finalnie mogę śmiało powiedzieć, że Teatr Barakah jest na fali wznoszącej, bo to kolejna premiera, która była bardzo satysfakcjonująca. Jednocześnie robi to wrażenie jako debiut reżyserski i dramaturgiczny, bo oba elementy porywają widza za kłaki i ciągną bezlitośnie do jeziora, nie zważając na wrzaski (w pozytywnym znaczeniu tego makabrycznego porównania). „Amoria” pozostawia jednak po sobie trochę niedosyt, chciałoby się więcej i pomimo efektu wow ma się poczucie, że skończyło się to troszkę za szybko. Niemniej widząc jak nasze dwa cherubinki zaciągają niewidzialną kurtynę, za którą czwórka naszych bohaterów trwa we wspólnym uścisku, robi się ciepło na sercu i to jest emocja, która ze mną mieszka po premierze „Amorii”. Proszę się kochać, nikogo nie oszczędzać.